

# „Iwona księżniczka Burgunda”

Anna Wołek

Wielka szkoda, że Teatr Nowy to już dziś historia. Przypadkowo zebrani w Londynie, aktorzy, którzy tu zostali, gdy w Polsce wprowadzono stan wojenny wraz z aktorami mieszkającymi tu od wojny, stworzyli znakomity, profesjonalny zespół, któremu nie jeden teatr krajowy nie dorównywał. A trzeba pamiętać, że warunki pracy były trudne. Każdy miał jakieś inne zajęcie. Próby odbywały się wieczorami. Nie było pieniędzy na wystawne scenografie. Zaplecze techniczne też nie było najlepsze. A mimo to powstawały pamiętne do dziś spektakle.

Po zmianach w Polsce wydawało się, że teraz związki Teatru Nowego z Krajem zaczną się zacieśniać, z korzyścią dla kultury polskiej w Kraju i na obczyźnie. Niestety, Teatr Nowy przestał istnieć, a Urszula Świącicka, która od początku jego istnienia kierowała nim, zajęła się działalnością impresaryjną. Zaczęła sprowadzać do Londynu znaczące przedstawienia zrealizowane w Kraju.

Na rozpoczęcie jesiennego sezonu zaprosiła do Londynu Teatr Ludowy z Nowej Huty ze sztuką Witolda Gombrowicza „Iwona księżniczka Burgunda” w reżyserii J. Stuhra, w wykonaniu jego byłych uczniów z Krakowskiej Szkoły Teatralnej.

Teatr Ludowy założony w 1955 roku w sercu miasta — pomnika socjalizmu — poza krótkim okresem świetności za dyrekcji K. Skuszanki — nie miał najlepszej reputacji. Do Teatru Ludowego po prostu się nie chodziło. Nie tylko dlatego, że daleko od krakowskiego rynku czy placu Szczyńskiego, gdzie siedzibę ma Teatr Stary. Teatr Ludowy był słaby, o prowincjonalnym poziomie. Bez dobrego zespołu i repertuaru. Okazuje się jednak, że w sztuce wszystko jest możliwe. Nawet w dobie kryzysu. Teatr objął jeden z doskonałych aktorów Teatru Starego — Jerzy Fedorowicz. Teatr Stary stracił znakomitego wykonawcę, ale Teatr Ludowy zyskał świetnego dyrektora. Przykładem tego udanego mariażu jest „Iwona księżniczka Burgunda”, którą obejrzelśmy w Londynie.

Sztuka sama w sobie nie ma najlepszej konstrukcji dramatycznej. Jest to zresztą jeden z pierwszych dramatów Gombrowicza (1938 r.). Obronić ją może tylko dobry pomysł reżyserski. Jerzy Stuhr, za co mu chwała, nie silił się na szukanie intelektualnych podtekstów, czy też nowatorskiej interpretacji. On potraktował „Iwonę” jako absurdalny dowcip. Podkreślił wszystkie jej zabawności. Tak często

\*\*\*\*\*

skracaną lub wyrzucaną scenę Iwony z Filipem i Cyrylem, która jest przecież kluczem do całej sztuki, pozostawił w całości. Rozegranie

niczym nie wyróżniającą się sukienkę. Przedstawienie ma jeszcze jeden dodatkowy walor. Niezwykłą dbałość o detal. Lokaj (Roman Gancarczyk) rozkładający z precyzją obrus zwinięty w



Od lewej stoją: Dorota Zięciowska, Ziuta Zającówna, Roman Gancarczyk i Jerzy Stuhr

jej na stole bilardowym to dodatkowy smaczek. To doskonała zabawa w nonsens. Jego Iwona (Ziuta Zającówna) też nie jest taka jak w większości inscenizacji. Jest flegmatyczna, z ponurą twarzą. Ale nie odrażająca, czy szpetna. Ubrana jest nie inaczej niż inne postaci, w prostą

harmonijkę, jego nonszalanckie wejścia i wyjścia. Zdejmowanie okularów przez szambelana (Krzysztof Górecki). Drobne gesty Małgorzaty (Dorota Zięciowska), kiedy rozmawia z synem. (Dla niej występ w POSK-u był szczególnie emocjonalny, bowiem na tej sce-